

Weryfikujmy ideologię islamistyczną, a nie muzułmanów

Andrew McCarthy

Nasz system imigracyjny powinien brać pod uwagę islam, żeby móc odróżnić proamerykańskich muzułmanów od zwolenników szariatu i supremacji.

Nikt się nie zdziwił, gdy wyszło na jaw, że urodzony w Uzbekistanie dżihadysta, który odpowiada za śmierć ośmiu osób na ulicach Nowego Jorku, został zaproszony do USA w ramach niedorzecznego programu różnorodności - "Diversity Visa Program". Sayfullo Habibullaevic Saipov, zwolennik szariatu i supremacji, popierający tak zwane Państwo Islamskie, przekroczył nasze granice siedem lat temu, będąc młodym, 21-letnim muzułmaninem.

Pisałem o „Diversity Visa Program” w mojej książce „The Grand Jihad”, przedstawiającej szariacką strategię supremacji w celu infiltrowania i „zniszczenia Zachodu” (cytat z Bractwa Muzułmańskiego). Jak to szczegółowo przedstawiłem, już za czasów administracji 41. prezydenta USA George’a Busha, Departament Stanu także prowadził program „Diversity Visa”, którego celem było promowanie imigracji z krajów, których obywatele nie są chętni przyjeżdżać do USA - tzn. zachęcanie do naszej kulturowej dezintegracji. Jest to niedorzeczny pomysł wykoncypowany przez ultralewicowego senatora Teda Kennedy’ego z powodu tego, że Irlandczycy - tak, Irlandczycy - nie byli rzekomo wystarczająco reprezentowani w tej wspaniałej mozaice.

Mark Krikorian, dyrektor Center for Immigration Studies, opisuje wynikające stąd konsekwencje następująco: jedna trzecia zwycięzców dorocznej loterii wizowej pochodzi teraz z krajów islamskich, co oznacza, że ten program stał się nieproporcjonalnie ważnym narzędziem imigracji dla muzułmanów. Dzięki tej polityce, jak również innym federalnym systemom imigracyjnym, dodatkowo przynajmniej milion muzułmanów przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych (nie wliczając w to półtora miliona amerykańskich muzułmanów).

Niemożliwe jest podanie pewnej liczby, bo nasz niesprawny Homeland Security Department monitoruje jedynie wjazdy imigrantów do USA - a nie to, czy ci cudzoziemcy również wyjeżdżają, a jeszcze mniej, czy realizują już na miejscu podany przez siebie cel podróży. Należy jednak ciągle powtarzać, że ci obcy to nie są amerykańscy muzułmanie. To legalni i nielegalni imigranci, którzy są lojalni wobec swojego kraju, a jeszcze bardziej realistycznie, wobec „ummy” (tzn. umownej, ogólnoswiatowej społeczności islamskiej).

Nie jest to bagatela, gdy dobrze zdajemy sobie sprawę z planu islamistycznej supremacji: imigracji nie po to, by realizować amerykański sen, lecz żeby stać się amerykańskim koszmarem - to dżihad, który ma przekształcić Stany Zjednoczone.

Minęła prawie dekada od napisania przeze mnie tych słów. W międzyczasie okazało się, że dżihadysty są tylko czubkiem góry lodowej. Mamy do czynienia z wrogiem ideologicznym, którego celem jest - i jasno to wyraża - zastąpienie zachodniej kultury i jej prawa represyjnym, zgodnym z szariatem systemem społecznym i kodeksem prawnym. To jest właśnie cel dżihadyzmu. Agresywne ataki nie mogą się wydarzać, a na pewno nie tak regularnie, bez systemu wsparcia dla rebeliantów: ideologicznych enklaw, gdzie zachęca się, rekrutuje, szkoli, zdobywa fundusze i oferuje wsparcie moralne.

Jest jasne, że w latach poprzedzających ostatni atak Saipov coraz bardziej zbliżał się do Omar Mosque w Paterson w stanie Nowy Jork. Z powodu inwazji szariackiego suprematyzmu ta społeczność była obiektem dochodzeń antyterrorystycznych od ponad dwunastu lat. Ponieważ sprawy imigracyjne znajdowały się w centrum uwagi kampanii wyborczej i prezydentury Trumpa, debatowano na temat polityki wizowej i spraw uchodźców.

Próbowałem wtedy wielokrotnie przekazać, że chociaż fakt, iż wyszkoleni dżihadysty mogli dostać się do kraju udając prawdziwych imigrantów, ma poważne znaczenie, nie jest to jednak największe zagrożenie. Wszechogarniająca groźba tworzy się sama: polityka imigracyjna promująca odporne na asymilację enklawy, w których zakorzenia się suprematyzm szariatu.

Chociaż martwi nas dzisiejszy dżihadysta, przynajmniej tak samo powinniśmy myśleć o dziesięcio-, dwunasto-, piętnastoletnim dzieciaku mieszkającym w enklawie szariatu i suprematyzmu, który podobnie jak Saipov, stanie się dżihadystą za siedem lat.

Zawsze szybki w swoich twittach prezydent Trump zareagował w noc po zamachu (między innymi) takim stwierdzeniem: "Właśnie nakazałem Homeland Security wzmocnić nasz i tak już bardzo rozbudowany program weryfikacyjny (Extreme Vetting Program). Poprawność polityczna jest w porządku, ale nie w tej sprawie".

Administracja Trumpa nie do końca ma pojęcie, czym jest "radykalny islam" i nie ma odwagi do tego, żeby kryterium ideologii szariatu włączyć do weryfikacji starających się o prawo wjazdu.

Ale przecież on sam jest poprawny politycznie. Czego naprawdę szukamy prowadząc tę weryfikację? Nikt nie chce jasno powiedzieć. Czemu? Ponieważ, jak to dowodzimy od miesiąca, źle pomyślane i nieefektywne "zakazy wjazdu" sprawiły, że administracja znalazła się w położeniu utrudniającym tropienie szariackiego suprematyzmu.

Ponownie przeanalizowałem tę sprawę po tym, jak Sąd Najwyższy ostatniego lata wyraził zgodę na te zakazy. Argumentowałem, że te odgórne nakazy są katastrofą, gdyż nie przyczyniają się do znaczącej poprawy bezpieczeństwa, a dotyczący ich spór sądowy spowodował znaczne szkody w realizacji nadrzędnego celu, jakim jest poprawa systemu weryfikacji.

Aby chronić prezydenta przed oskarżeniami o dyskryminowanie muzułmanów, administracja argumentowała, że zakazy podróży nie mają nic wspólnego z islamem. W ten sposób administracja popierała, przynajmniej milcząco, sugestię, że restrykcje dotyczące przyjazdów byłyby niezgodne z konstytucją, gdyby brano pod uwagę islam przy ich wydawaniu.

Ale bez brania pod uwagę islamu - czyli rozdzielenia antyamerykańskich zwolenników supremacji i szariatu od proamerykańskich muzułmanów wspierających konstytucję - nie ma sposobu, by ograniczyć napływ tych muzułmanów, którzy podkopują nasze społeczeństwo i zwiększają zagrożenie dżihadyzmem.

Zatem, jeśli nie możemy lustrować pod kątem szariackiego suprematyzmu, nie ma uzasadnienia to, co Trump nazywa ekstremalną weryfikacją - "extreme vetting". Czy widzieliście jak ostatnio Trump pieścił się z Saudyjczykami? Czy zauważyliście jak departament stanu prezydenta interweniował w imieniu wspierającego terroryzm Kataru i jak nie chcą, żeby rozprawić się z Bractwem Muzułmańskim?

Ja widziałem i to wzmacnia moje długo utrzymujące się podejrzenie, że gdy przychodzi co do czego, to administracja Trumpa nie do końca ma pojęcie, czym jest "radykalny islam" oraz nie ma odwagi ani determinacji do tego, żeby kryterium kwestii ideologii szariatu włączyć do weryfikacji cudzoziemców starających się o prawo wjazdu do naszego kraju.

Powróćmy do prezydenckich wpisów po zbrodni na Manhattanie: „Nie wolno nam pozwolić na to, by Państwo Islamskie wróciło, czy też dostało się do naszego kraju, po tym jak pokonaliśmy je na Bliskim Wschodzie i gdzie indziej. Dość!” — Donald J. Trump (@realDonaldTrump) October 31, 2017.

Racja . . . tylko, że nigdy nie będzie “dość!”, dopóki biurokraci w Waszyngtonie nie zechcą przyznać na czym polega wyzwanie. To nie ISIS. Organizacje dżihadystyczne są jedynie symptomem. Patologią jest szariacki suprematyzm. Jeśli nie będziemy prześwieślać ludzi pod tym kątem, to wciąż będziemy świadkami ataków na długo po tym, jak ISIS, które zaczęło się jako Al-Kaida, zmieni się w jakąś nową grupę dżihadystyczną.

Szariacki suprematyzm nie jest religią. Jest to totalitarna ideologia polityczna za religijną fasadą. Ta różnica ma krytyczne znaczenie — ideologia, nie religia. Jeśli nie będziemy mogli weryfikować szariackiego suprematyzmu, bo establishment polityczny zdecyduje, że to nie jest ideologia, tylko islamska religia objęta ochroną pierwszej poprawki, wówczas nie będziemy w stanie chronić naszego kraju. Kropka.

Może więc przestańmy szumnie deklarować, jak bardzo ekstremalna musi być nasza weryfikacja i zajmijmy się wygraną debaty o to, co powinniśmy weryfikować.

Grażyna Jackowska na podst.: <http://www.nationalreview.com>

Andrew McCarthy był zastępcą prokuratora stanowego, zasłynął jako prowadzący śledztwo w sprawie pierwszego zjazdu na WTC (1993). Jest publicystą „National Review”.